

Z EROSEM POD WILCZYCĄ

Rozmowa z Andrzejem Szulcem, artystą plastykiem, scenografem ze Słupska

– Wróciłeś z Włoch z podpisaną umową na udział w intrygującej wystawie...

– Rzeczą zaczęła się w Słupsku. Od dłuższego czasu, niejako dla odprężenia od codziennej mitręgi, sięgam po ołówki, piórko, nawet długopis, by rysować cykle erotyków. Cienką kreską notowane wyobrażenia z codzienności. Ale nie są to grypsy gazetowe. Zawieram w nich głębszą myśl. Nagromadziło się ich sporo. Tytułem próby pokazałem część z nich na wystawach w Wojewódzkim Ośrodku Kultury w Warszawie i w Młodzieżowym Centrum Kultury. Zyskały zainteresowanie, co utwierdziło mnie w realizowaniu pomysłu. Złożonymi w formie sporej książeczki próbowałem, niestety bez efektu, zainteresować wydawców. A ponieważ nadarzył mi się w maju wyjazd na dwa tygodnie do Włoch na artystyczny rekonesans, zabrałem ją ze sobą. Tam spotkały się ze sporym zainteresowaniem.

– Jaka to była okazja wyjazdu do mekki sztuk?

– Mile mnie zaskoczył pamięcią o mej osobie Zygmunt Korus, historyk sztuki, właściciel galerii „Plus” i biura podróży w Chorzowie, zapraszając do rekonesansu z udziałem kilkorga artystów z kraju. Wreszcie miałem szansę zobaczyć i dotknąć wspaniałości znanych mi jedynie z wykładów historii sztuki oraz złych reprodukcji we wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych, z lektur i widowiskówek. Bazę wypadową mieliśmy w hotelu w Lido degli Estensi etruskim nad Adriatykiem w pobliżu Rawenny. Wreszcie poczułem magię, skalę i potęgę dawnych geniuszy. Zrozumiałem, dlaczego przyszli artyści powinni już w czasie studiów odwiedzać te miejsca. Nie taję, że nieco przytoczyły mnie zasięgiem, propozycjami i ogromem pracy te wrażenia.

– Odżyłeś, gdy tamtejsi znawcy sztuki zainteresowali się twoimi pracami?

– Na moment na pewno. To niezwykle, gdy w świątyni sztuki ktoś sięga po twoje prace, widzisz na jego twarzy zainteresowanie, słyszysz pochwałę tak przecież ci potrzebną. Oni przecież nawet nie wiedzą o istnieniu mieściny zwanej Słupskiem. Po obejrzeniu mojego malarstwa oraz książeczki erotyków usłyszałem od znanego w tym kraju krytyka

Mario Molto porażające mnie komplementy. Zaproponowano mi udział w prestiżowej dorocznej wystawie w Bolonii. Natychmiast musiałem podpisać stosowną umowę. Jak się zorientowałem, Bolonia jest centrum biznesu, a zarazem mecenatu sztuki we Włoszech. O terminie wystawy i związanych z nią szczegółach zostaną wkrótce powiadomieni. Uczestniczący w eskapadzie niektórzy polscy artyści zostali zaproszeni do członkostwa w „Klubie krytyków i artystów Doliny Padu”. Jestem wśród nich wraz z Witkiem Lubinieckim z Ustki.

– Jak się wraca z tak udanego rekonesansu nad wybraną przed wielu laty Słupię?

– Nie czuję się tu aż tak wyobcowany, jakby sugerowało twoje pytanie. Utrzymuję kontakt z kolegami z wrocławskiej akademii, a także profesorem Józefem Szajną, moim mistrzem od drugiego faktu. Po Wrocławiu bowiem zdałem egzamin na prowadzone przez niego Studium Scenografii Teatralno-Telewizyjno-Filmowej na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. To były wspaniałe dwa lata 1972–74. Niedawno przysłał mi serdeczny list z propozycją współpracy z teatrami w Chorzowie, Katowicach, Rzeszowie, a także rekomendację na autorski spektakl w Teatrze Studio w Warszawie – z reżyserowaniem włącznie. Toteż jadąc do Włoch zatrzymałem się w Chorzowie, by porozmawiać z Mariuszem Miłkowskim, dyrektorem tamtejszego Teatru Rozrywki. Rekomendacja Szajny poskutkowała.

– To dzisiaj, to Andrzej Szulc w roku 1997 roku. Pomówmy jednak o początkach. Dlaczego stypendysta Szajny osiadł w Słupsku, z daleka od tych pierwszych szans?

– Spełnianie ich nie tak zupełnie zależy od miejsca, choć może masz trochę racji. Po studiach we Wrocławiu w 1972 roku podjąłem pracę zarobkową przy konserwowaniu zabytków. Między innymi fascynującą przygodą był udział w konserwowaniu Panoramy Racławickiej. Później wyjechałem jednak na studia u Szajny. Wiedziałem już wówczas, że interesuje mnie autorstwo a nie odwórstwo w sztuce. Dyplom u Szajny zrobiłem autorskim spektaklem „Serum” w Koninie, następnie w Teatrze Studio zaprojektowałem scenografię do „Błaznów i demo-

nów” Chelderode’a. Efekt musiał być dobry, bowiem Szajna polecił mnie jako scenografa dla Westfälische Landes Theater w Castrop-Rauxel w RFN. Robiłem scenografię do „Henryka IV” oraz „Falstaffa” Schaekspiera. Do Słupska wróciłem na początku roku 1976.

– No właśnie. Powróciłeś do miasta, do rodziców, choć miałeś propozycję dalszej pracy jako scenograf w Niemczech. W Państwowym Teatrze Lalki w Słupsku twój ojciec Stanisław był aktorem poznanym także jako autor sztuki „Diabeł Boruta”, którą wystawił we własnej reżyserii, z twoją scenografią. Syn, młody scenograf, zafascynował się teatralnym sukcesem ojca?

– To prawda, że w ostatnich latach trochę ponarzekalem na trudy egzystencji, utrzymania rodziny w Słupsku. Ale wówczas...? Może masz rację z tą fascynacją, dumą z ojca. Splendor miał spaść i na mnie. I rzeczywiście miałem co robić jako malarz, grafik. A w scenografii sprawdzałem się w wielu teatrach w kraju, pomagałem przy widowiskach kolegom z Wojewódzkiego Domu Kultury w Słupsku.

– Przypomnij pierwszą pracę dla teatru po powrocie z RFN.

– Jeszcze w trakcie pracy w Niemczech opracowywałem i wysyłałem projekty dla lubelskiego Teatru Lalek imienia Hansa Christiana Andersena w Andersenowskiej „Królowej Śniegu” reżyserowanej przez Włodzimierza Felenczaka, mojego późniejszego wieloletniego przyjaciela. Zaprojektowałem kilkanaście scenografii do sztuk reżyserowanych przez niego. Dla mnie był to czas młodzieńczej werwy. Byłem naładowany energią do pracy. Powracając do słupskiej „Lalki” – spektakl ojca przypadł na 25-lecie tego teatru, natomiast w ubiegłym roku dyrektor Małgorzata Kamińska-Sobczyk uhonorowała mnie scenografią do „Doradców Króla Hydropsa” według Stanisława Lema – sztuki wystawionej na 50-lecie tej sceny. Obecnie jestem po próbach kolejnej sztuki w „Tęczy” z moją scenografią – „Samobajki” napisanej i reżyserowanej przez dyrektorke teatru. To moja scenografia numer 53.

– Wydawać by się mogło, że trzymasz Pana Boga za piętę, a tymczasem rzeczywistość skrzeczy?

– Były lata z kilkoma premierami w roku. Nieźle sprzedawało się malarstwo,

grafika. Raz po raz poważniejsza praca zlecona dla zakładu pracy mającego pieniądze chociażby na reklamową ścianę w mieście. Dla nas była to cenna forma mecenatu. Od paru lat tego wszystkiego nie ma. Teatry biedne. Z jednej czy dwóch scenografii w roku wyżyć trudno. Trwały mecenat państwa diabli wzięli. Czasami ministerstwo kapnie skromne stypendium na życie i farby. Artystyczną reklamę w mieście zastąpiły plansze wykonywane przez przedsiębiorczych sztyldziarzy i komputerowców. Chwała im za operatywność i posługiwanie się techniką zastępującą sztukę prawdziwą. Sztuka prawdziwa stała się marginesem dla koneserów w gabinetach i kolekcjonerów. Można ją wystawiać w galeriach, ale kupców brak. Sprzedają swoje malarstwo oferując tu i tam, prawie jak domokrażca. I przyznaje, że udaje mi się znaleźć nabywców. Moje obrazy powędrowały ze Słupska do domów w wielu krajach. Tam gdzie są codziennie oglądane. Niektórzy z nabywców, będąc w Polsce odwiedzają mnie, kupując coś nowego. Jest to po-krzepiające.

Na dobrą sprawę za dzisiejsze, mam nadzieję przejściowe niedogodności, nie ma kogo winić w tym dreptaniu do Europy. Droga słuszna, ale piechotą i w scenarii prawie pątniczej. Z przyczyn ekonomicznych musiałem oddać spółdzielni pomieszczenie wynajmowane na pracownię w momencie, gdy wyznaczono czynsz jak za zakład usługowy. Rodzina obcuje więc w mieszkaniu na co dzień z zapachem farb i rozpuszczalników. Z natury jestem optymistą. Podjąłem pracę dydaktyczną w dziedzinie plastyki i historii sztuki w Liceum Ogólnokształcącym imienia Adama Mickiewicza, w Młodzieżowym Centrum Kultury. Moi kursanci z MCK z BWA zdali egzamin na studia plastyczne i architekturę.

– Będziesz powracał wspomnieniami do pobytu na Adriatykiem, w muzeach, galeriach i na ulicach Rzymu, Florencji, Wenecji, Rawennie...

– Byłem porażony nagromadzeniem najwspanialszych dzieł. To były słusznie wydane pieniądze. Nawet liczę na nawiązany kontakt, chociaż zaproszenie do Bolonii traktuję bardziej w kategorii presti-

żu. Ta chwila umocniła mnie w poczuciu wartości wykonywanej sztuki. My w Polsce na prawdę nie mamy się czego wstydić. Podobnego zdania są koledzy w kraju, z którymi byłem na tym artystycznym rekonesansie. Wrażenie ze zwiedzania było tyle, że gdy stanąłem pod kolumną ze słynną rzymską wilczycą karmiącą Remusa i Romulusa, dopiero na zdjęciu uwidoczniło się zmęczenie.

– O słupskiej czerwcowej premierze w teatrze „Tęcza” już wspomnieliśmy. Co pokażesz w najbliższym czasie jako artysta plastyk?

– Biorę udział w październikowym Międzynarodowym Triennale Grafiki w Krakowie. Pokażę kompozycje kserografii zdjęciowej, które zostały pochlebnie ocenione przez krakowską komisję artystyczną. Znajdę się w głównej kolekcji artystów zaproszonych ze stu miast na świecie.

Rozmawiał:
JERZY DĄBROWA



Andrzej Szulc w domowej pracowni.